

18 czerwca anno Domini 1429, Łużyce, a dokładniej miasto zwane przez tutejszych Bolesławcem. Młody husyta Dobiesław z Trocnova przekroczył bramy miasta. Jeszcze kilka godzin temu w tym miejscu wrzało. Jego koledzy i bracia w wierze wpadli do środka rozganiając katolicką hołotę po kątach. Większość ocalałych skryła się w klasztorze dominikanów. – Khe, hhe – zarechotał młodzieniec. Bolesławianie musieli być bardzo naiwni. Klasztorne mury i święta ziemia nie ukryją ich przed nieuniknionym. Dobko sam chętnie wzięby udział w masakrze, ale wolał patrolowanie miasta. Zjadł dzisiaj duży obiad, a pełny brzuch nie sprzyja emocjom, które potrafią zafundować mistrzowie jego fachu. Mężczyzna rozejrzał się po bolesławieckim rynku. Przez chwilę szkoda mu było tego miejsca. Kamieniczki i sam ratusz robiły spore wrażenie. Oczywiście miasto nie dorównywało swoim pięknem Pradze. Tamtejsze uliczki to było coś... No, przynajmniej tak słyszał. Nigdy nie dane było mu zobaczyć praskiego mostu czy uliczki handlarzy złotem. Od kołyski siedział w swojej rodzinnej wiosce, a kiedy mógł zaciągnął się do wojska. Może i jego życie nie było zbyt kolorowe, ale wyszedł na tym lepiej niż którykolwiek z tych rzekomo sprytnych bolesławian, którzy siedzą obecnie w klasztorze. Posnuł się po okolicy jeszcze z godzinkę, kiedy dołączyli do niego bracia z oddziału.

- Czołem, kamarád! Na ulicach wszystko w porządku?

Dobiesław wyczuł w jego wypowiedzi kpinę. Widocznie to, że nie przyszedł na spektakl w klasztorze było w oczach jego towarzyszy oznaką tchórzostwa.

- Nie narzekam. Co prawda snuł się tu jakiś szczur i już miałem go potraktować z rusznicy, ale w porę dostrzegłem, że to ty.

Uśmiechnął się złośliwie. Riposta może i nie była na najwyższym poziomie, ale rzut oka na zgaszoną twarz towarzysza wystarczył, żeby ocenić jej skuteczność. Był ciekawy co teraz. Z tego co było mu wiadomo dowództwo podzieliło jeńców na kilka gruppek.

- Słuchajcie, psie syny, bo nie będę powtarzał! – zagrzemiał głos dowódcy – Uporaliśmy się już z „kwestią mieszkańców” i ich przywódców. Zakonników zagoniliśmy do kościoła świętej, tfu, Jadwigi. Pobawcie się w palenie, a później macie wolne. Jeśli chodzi o kobiety... nie gwałćcie, chłopaczki. Ewentualnie róbcie to tak, żeby nikt nie widział. No, rozejść się!

Tym razem nie mógł zasłonić się pełnym brzuchem. Wszyscy husyci zgromadzili się przed kościołem świętej Jadwigi, aby obejrzeć zbliżające się dzieło zniszczenia. Najmłodszy z grupki, łysy chłopaczek z niezwykle głupkowatą mimiką twarzy, wziął do ręki pochodnię i zbliżył ją do rozsypanego prochu. W jednej chwili wszystko zajęło się ogniem. Po chwili Dobko zauważył w okolicach świątyni jakieś cienie. Postanowił to sprawdzić. Rzeczywiście, instynkt go nie mylił. Jednemu z zakonników udało wydostać się przez okno. Cóż mógł zrobić? Zdjął z pleców kuszę i posłał pocisk prosto w uciekającego duchownego. Mężczyzna nie miał szans, ale husyta na wszelki wypadek poszedł sprawdzić czy jeszcze dycha. Wyglądało na to, że nie. Dobiesław już miał odwrócić się na pięcie i odejść, kiedy poczuł na kostce żelazny uścisk mnicha.

- Zginiesz husyto. Jak nie dzisiaj, to za tysiąc lat - wyszeptał dominikanin.

Ostatkiem sił wykonał w powietrzu znak krzyża i odszedł. Młodego żołdaka poraziły jego słowa. Nie wiedział, kiedy zaczął się trząść. Nigdy tak nie reagował na podobne pogroźki. Te

jednak brzmiały poważniej niż zazwyczaj. Mnich autentycznie wierzył, że Dobko poniesie karę. Jeśli nie dziś, to za tysiąc lat.

- To już koniec, chodźmy.

Husyta poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i podskoczył przerażony. To kolega z oddziału ściągnął go na ziemię. Kościół spalony jak kazano, mieli wolne. Co robi banda młodych żołnierzyków po godzinach? Plądruje, aby zdobyć co ciekawsze łupy. Pragnienie wzbogacenia się zaprowadziło ich aż za miasto, do kościoła św. Mikołaja (a raczej tego, co z niego zostało). Dobiesław przeszukiwał niewielki kościółek z takim samym zaangażowaniem jak jego koledzy, ale nie ukrywał, że jest lekko zaniepokojony przepowiednią jego niedawnej ofiary. Po chwili myszkowania pod kilkoma podniszczonymi deskami znalazł coś wyglądającego na cenne. Była to niewielka skrzyneczka, tabernakulum. Dobko, niewiele przy tym myśląc, wydobył z kieszeni nóż i siłą otworzył drzwiczki. Z wnętrza uderzyła w niego fala gorąca, a wokół zrobiło się ciemno. Zemdlał, a może padł z wyczerpania? Tego nie wiedział. Nie wiedział też ile czasu leżał nieprzytomny. Dopiero kiedy podniósł głowę prawda uderzyła w niego ze zdwojoną siłą. Mimo tylu zniszczeń zadanych przez husytów kościół wydawał się nienaruszony. Zresztą, wyglądał zupełnie inaczej, jak nie z tego świata. Z każdego zakątka budynku lśniło złoto i najróżniejsze ozdoby. Dobko wstał i jak zahipnotyzowany wbił swój wzrok w ołtarz główny. Pozdrowiała go z niego Maryja zabierana przez aniołów do raju. Postać sprawiała wrażenie ruchu, jakby właśnie odrywała się od ziemi. Uśmiechała się. Czech zatrzęsł się ze strachu, ale starał się nie tracić zimnej krwi. Wszystko wokół było ogromne, przytłaczało go swoją wielkością. Obrócił się w lewo, ale tam było jeszcze gorzej. Ambona zadziwiała przepychem i nieregularnością kształtów oraz linii. I znowu – ruszające się postacie. Chór anielski umieszczony na baldachimie na samym czubku konstrukcji wyglądał jakby miał poderwać się do lotu. Husyta przeszedł kilka kroków do przodu. Elementy zawinięte w coś podobnego do muszli, szpice, złoto i zastygnięci w ruchu bohaterowie biblijni... byli wszędzie. Na ołtarzu świętej Anny, świętego Józefa, Serca Jezusowego. Wszystko było tak starannie i równocześnie chaotycznie przystrojone, że nie był w stanie tego pojąć. Mężczyzna potknął się, a kiedy próbował złapać równowagę jego oczy spotkały się ze wzrokiem mężczyzny na obrazie „Święta Rodzina” malowanego techniką olejną na płótnie. Z hipnozy wywołanej szokiem wyrwał go mężczyzna, który zapalił mieniące się dziwnym światłem, olbrzymie świeczniki jakich nigdy jeszcze nie wiedział. Dobiesław wybiegł z kościoła nie oglądając się za siebie. Zbiegł po schodkach prosto na ulicę. Upiorny pisk i dźwięk tłuczonego szkła to ostatnie odgłosy, które usłyszał. 18 czerwca anno Domini 2014, Dolny Śląsk, a dokładniej miasto zwane przez tutejszych Bolesławcem. Policja szuka członków grupy zajmującej się rekonstrukcją historyczną okolic XIV/XV wieku. Jeden z nich w dniu dzisiejszym miał wypadek, a nie ma żadnego sposobu, żeby skontaktować się z jego rodziną. Jego ostatnie słowa to: „Jak nie dzisiaj, to za tysiąc lat.”